

# **Jak najbogatsi ukradli nam świat**

Wojciech Orliński

2 maja 2014

Finansowy oszust bezkarnie zarabia dziś tyle, ile 80 tysięcy pielęgniarek

Gdy europejscy finansiści stawili opór przeciwko wprowadzeniu sankcji dla Rosji, wyglądało to jak parodia marksowskiego zawołania: oligarchowie wszystkich krajów, łączcie się. To tylko smutne potwierdzenie tezy, którą kilka lat temu w książce "Superclass" postawił David Rothkopf - nierówności społeczne zaczynają zagrażać demokracji. Problemem nie jest tylko bieda najbiedniejszych, ale także bogactwo najbogatszych.

Jak daleko zaszły nierówności w USA i Wielkiej Brytanii, pokazują Linda McQuaig i Neil Brooks w wydanej w zeszłym roku książce "The Trouble with Billionaires: How the Super-Rich Hijacked the World" ("Problem z miliarderami: jak najbogatsi ukradli świat"). Posłuzyli się metodą wymyśloną przez holenderskiego ekonomistę Jana Pena (1921-2010).

Pen zaproponował modelowe przedstawienie całego kraju maszerującego w zgodnej parady, w której każdy ma taki wzrost, jak jego zarobki mają się do przeciętnych zarobków. Biedni otwierają pochód, bogaci go zamykają.

W XVII-wiecznej Anglii pochód otwieraliby mikroskopijni żebracy i wagabundzi, zarabiający mniej niż dwa funty rocznie. Rzemieślnicy, z przychodami rzędu 38-40 funtów, byłoby przeciętnego wzrostu, ponad wszystkich - na 250 metrów - wyrastaliby arcybiskupi i książęta z zarobkami powyżej 6000 funtów.

W dzisiejszej Wielkiej Brytanii najpierw ruszyliby w parady ludzie na zasiłkach - mieliby ok. 30 centymetrów wzrostu. Kasjerki z hipermarketów i sprzedawcy z fast foodów przebiliby barierę metra, ale dopiero pod koniec robi się naprawdę ciekawie. Supermodelka Kate Moss z rocznym dochodem 5,74 miliona - ma pół kilometra wzrostu, ale nawet do pasa nie sięga półtorakilometrowemu magnatowi prasowemu Rupertowi Murdochowi (18,7 miliona).

Bob Diamond, prezes banku Barclays, zmuszony do rezygnacji, gdy wyszła na jaw jego rola w manipulowaniu stopą LIBOR, świetnie na tym wyszedł. Wprawdzie został z banku wyrzucony, ale z ogromną odprawą, dzięki której ma w parady 1,9 km wzrostu. I on jednak jest karłem przy zamykających pochód szefach funduszy spekulacyjnych i hedgingowych.

Chris Rokos z Brevan Howard Asset Management urósł do 8,1 kilometra. Jego kolega Alan Howard, którego nazwisko widnieje w nazwie firmy, ma już głowę w stratosferze.

Też był zamieszany w manipulacje LIBOR, ale nic mu nie udowodniono. Zarobiwszy 400 milionów funtów, ma 32,4 km wzrostu. Samoloty nie latają tak wysoko.

Innymi słowy, nierówności majątkowe są dziś nieporównanie większe niż w czasach feudalnych. Lepiej być prezesem banku, choćby odchodzącym w niesławie, niż kiedyś arcyksięciem.

\*\*\*

Dzisiejsza Polska bliższa jest Anglii XVII-wiecznej niż współczesnej. U nas pochód zamykałby prezes firmy Comarch Janusz Filipiak, który wypłaca sobie samemu milion złotych miesięcznie. To tylko 274-krotność przeciętnego wynagrodzenia, co w parady Pena dawałoby Filipiakowi zaledwie wzrost na poziomie księcia sprzed 400 lat, niecałe pół kilometra.

Nie we wszystkich krajach Zachodu nierówności w ostatnich trzech dekadach poszybowały do stratosfery. Dotyczy to przede wszystkim USA i Wielkiej Brytanii, głównie za sprawą neoliberalnych reform Thatcher i Reagana (oraz ich następców).

Między innymi dlatego Richard Wilkinson i Kate Pickett mogli zgromadzić dane porównawcze o jakości życia w krajach o podobnym poziomie rozwoju gospodarczego, ale różnym poziomie nierówności majątkowych. Wyniki pokazane w ich książce "Duch równości" są jednoznaczne: im większa nierówność, tym gorzej żyje się wszystkim, nie tylko najbiedniejszym.

Większe nierówności związane są z tak licznymi negatywnymi zjawiskami społecznymi, jak choroby fizyczne i psychiczne, narkomania, przemoc, otyłość, krótszy czas trwania życia, mniejsza trwałość rodziny. Można oczywiście zastanawiać się, na ile korelacja świadczy o związku przyczynowym, ale trudno te dane wyjaśnić inaczej - skoro tę prawidłowość widać nawet w ramach tego samego państwa, np. pomiędzy różnymi stanami USA.

Książka Rothkopfa częściowo to wyjaśnia. Odwołując się do przykładów historycznych, m.in. ze starożytnej Grecji i XVII-wiecznych Chin, pokazuje, że superbogate elity doprowadzały w końcu do zagłady państwa, które umożliwiły im osiągnąć te bogactwo - bo ich partykularne interesy były sprzeczne z interesem całej społeczności, a nikt nie był w stanie im się przeciwstawić. Tak upadły Sparta i Ateny, tak upadła dynastia Ming.

Przywileje dzisiejszych najbogatszych przedstawia się często jako coś zupełnie innego niż w czasach arystokracji czy niewolnictwa. Miliarderzy chętnie mówią o sobie jako o "merytokracji". Bill Gates ma być kimś, kto swoje miliardy zawdzięcza wyłącznie własnej ciężkiej pracy i talentom.

Brooks i McQuaig poświęcają mu cały rozdział zatytułowany "Dlaczego Bill Gates nie zasługuje na swoją fortunę", omawiając ten przykład w szczegółach, nim przejdą do kolejnego rozdziału, "...a inni miliarderzy jeszcze bardziej".

\*\*\*

Przyjrzyjmy się fortunie szefa Microsoftu. Pierwszy milion zarobił tak, jak zarabia go większość bogaczy. Po prostu przyszedł na świat w rodzinie milionerów.

Gates lubi się przedstawiać jako "Bill", ale przyszedł na świat jako William Henry III Gates, owoc dynastii prawników (po mieczu) i bankierów (po kądzieli). Pieniądze tatusia przydały się już na etapie szkoły średniej - pozwalały posłać go do elitarnego prywatnego liceum, które miało dostęp do prawdziwego komputera (rzadkość pod koniec lat 60.). W kółku komputerowym Gates poznał Paula Allena, z którym potem założył Microsoft. Potem pieniądze tatusia przydały się na etapie wysyłania Billa na Harvard. Po tej szkole nie pracuje się w McDonalddie, chyba że na posadzie członka zarządu.

Ale to finansowe koneksje mamusi okazały się kluczowe w awansie Billa Gatesa z prostego milionera na miliardera pełną gębą. Fortunę zbił na kontrakcie z IBM, dla którego napisał system operacyjny MS DOS. System był słaby, ale miał jedną zaletę - oficjalne błogosławieństwo IBM, nad alternatywnymi systemami ciążył więc cień niepewności, "czy na pewno wszystko będzie działać". Potem Gatesowi doszły do tego Windowsy, które też miały tylko jedną zaletę - były zgodne z MS DOS.

Dlaczego IBM wybrał właśnie mało znanego Gatesa? To jedna z zagadek z historii informatyki. Według wszelkich rozsądnych kryteriów IBM powinien wybrać ofertę Gary'ego Kildalla, czyli system DR DOS. Kildall miał wiele lat doświadczenia w branży. Był twórcą systemu, który w pierwszych latach rewolucji komputerów osobistych był de facto standardem w zastosowaniach biznesowych - CP/M.

Kildall był jednak prawdziwym amerykańskim self-made manem. Nie skończył Harvardu, tylko uniwersytet stanowy. Rodzice prowadzili szkółkę żeglarską. Nie mieli znajomości na wyżynach korporacji.

Tymczasem John Opel, ówczesny szef IBM, przyjaźnił się z Mary Maxwell Gates, mamą Billa. Jedną prywatną rozmową z roku 1980, w której Mary zarekomendowała syna przyjacielowi, odpowiada za znakomitą większość z 77 miliardów fortuny Billa Gatesa.

\*\*\*

Sam z siebie Gates niczego nie wynalazł. Ba, jego własne pomysły były przeważnie koszmarem. Pamiętacie Pana Spinacza, postrach pakietu MS Office sprzed kilkunastu lat? Tak, to właśnie produkt oryginalnej myśli twórczej Williama Henry'ego III. Na szczęście nawet jego twórca w końcu przestał go forsować.

System MS-DOS nazywał się wcześniej Q-DOS i napisał go kolega Billa Tim Paterson. Zdolny programista, który nie miał mamusi ze znajomościami. Gates kupił od niego Q-DOS za 50 tysięcy dolarów, a potem odsprzedał go IBM-owi za miliardy.

A Windowsy? Tu też Gates nie wniósł nic nowego. I nie chodzi nawet o odwieczną dyskusję, na ile MS Windows były zrynką z komputerów Apple, a na ile Bill Gates i Steve Jobs skopiowali wcześniejszy prototypowy komputer Xerox Alto.

Paradygmat obsługi komputerów osobistych (myszka, wskaźnik, ikonki, okienka) wymyślił pod koniec lat 60. Douglas Engelbart z uniwersytetu Stanforda, realizując zlecenie US Air Force. To, czego Bill Gates nie zawdzięcza pieniądзом tatusia albo znajomościom mamusi, zawdzięcza podatnikom, czyli społeczeństwu. Podobnie jest z innymi bogaczami cyberświata.

Mark Zuckerberg nie miałby dzisiaj 32 miliardów, gdyby bogaty tatuś nie posłał go najpierw do prestiżowego prywatnego liceum (Phillips Exeter Academy), a potem na Harvard. Ale przede wszystkim Facebook, tak jak Google, nie mógłby istnieć, gdyby nie World Wide Web, najpopularniejsza usługa internetowa (tak popularna, że niektórzy myślą ją z samym internetem).

Kto ją wymyślił? Tim Berners Lee, postać dużo mniej znana od miliarderów, którzy na WWW zarobili fortunę. Berners Lee, tak jak Douglas Engelbart, nie dorobił się na swym wynalazku, ale przynajmniej dostał od królowej tytuł szlachecki (w 2004).

Jego prace też opłacił podatnik - tym razem europejski. World Wide Web powstało jako rozwiązanie problemu dręczącego naukowców z CERN, którzy szukali uniwersalnej platformy pozwalającej wymieniać dokumenty i dane gromadzone na komputerach, pracujących pod kontrolą różnych systemów operacyjnych.

\*\*\*

Zarówno Rothkopf, jak McQuaig i Brooks poświęcają w swoich książkach dużo uwagi niechlubnej roli, jaką miliarderzy odegrali w kryzysie roku 2008. Gdy większość populacji krajów demokratycznych odczuła w jego wyniku zubożenie, bogaci stali się jeszcze bogatsi.

Kryzys często się tłumaczy tym, że Amerykanie brali kredyty, na które ich nie było stać. Ale finansiści dawali im te pieniądze nie z dobroci serca, tylko ze świadomości, że sami na tym zarobią niezależnie, czy te kredyty będą spłacone, czy nie.

McQuaig i Brooks opisują tego, który zarobił najwięcej. John Paulson (przypadkowa zbieżność nazwisk z Henrym Paulsonem, sekretarzem skarbu USA) zarobił na kryzysie 3,7 miliarda dolarów - co w paradzie Pena daje mu kosmiczny wzrost 134 kilometrów.

Paulson inwestował w dziwaczne narzędzia finansowe, znane jako Credit Default Swap (CDS). To coś w rodzaju ubezpieczenia kredytów hipotecznych od niewypłacalności klienta - ale działającego tak, że beneficjentem jest ktoś inny.

To jakby wykupić auto casco na samochód sąsiada i czekać z nadzieją, aż będzie miał wypadek. Takie instrumenty w rękach bogaczy są niebezpieczne, bo bogacze mogą wykorzystywać swoje wpływy, by zwiększyć prawdopodobieństwo wypadku u sąsiada - na przykład przez wpływanie na znaki drogowe w okolicy.

Paulson był materialnie zainteresowany tym, żeby kryzys nastąpił jak najszybciej i był jak najbardziej dotkliwy dla całej gospodarki. Nie czekał z założonymi rękami.

Skłonił bank Goldman Sachs do wyemitowania papierów wartościowych, o których z góry było wiadomo, że będą bezwartościowe - ale Paulson wykupił odszkodowanie gwarantujące mu wypłatę w takiej sytuacji.

To odszkodowanie pochodziło z kolei od kolejnego finansowego giganta - AIG. Rzecz jasna, gdy nadszedł kryzys, Goldman Sachs i AIG stanęły na progu bankructwa.

Tutaj jednak wkroczył podatnik, reprezentowany przez sekretarza skarbu Henry'ego Paulsona. Wykupił on AIG za drobne 170 miliardów od podatników. Z tej fortuny AIG wypłaciło Goldman Sachs 17 miliardów. Z tego zaś z kolei zasilono między innymi Johna Paulsona (plus innych prezesów, partnerów i członków rad i zarządów, którzy powypłacali sobie za ten kryzys sowite premie).

"Jak można uzasadnić to, że praca Johna Paulsona jest warta tyle, co praca 80 tysięcy pielęgniarek?" - pytają McQuaig i Brooks. I dodają: "Jak uzasadnić, że jest warta choć tyle, co praca JEDNEJ pielęgniarki?"

\*\*\*

W roku 1950 najwięcej zarabiał w USA prezes General Motors Charlie Wilson - 586 tysięcy dolarów rocznie, co po uwzględnieniu inflacji dałoby 5 milionów dzisiejszych dolarów.

Brutto to niewiele więcej, niż dzisiaj wypłaca sobie prezes Filipiak. Netto zaś znacznie mniej, bo Charlie Wilson płacił górną stawkę podatku progresywnego - 91 proc. Prezes Filipiak płaci liniowe 20 proc.

Charlie Wilson kierował kwitnącą firmą. Nie kombinował, jak oszukiwać państwo na podatkach, przeciwnie - General Motors z dumą ogłosił w 1955, że jako pierwsza firma w historii USA odprowadził do fiskusa więcej niż miliard dolarów.

Facebook w 2012 nie tylko nic nie zapłacił, ale jeszcze dostał 429 milionów dolarów zwrotu nadpłaty z wcześniejszych lat.

General Motors był wtedy największym pracodawcą w USA - zatrudniał ponad 600 tysięcy ludzi, w dodatku zadowolonych, lojalnych wobec firmy i nie bez powodu uważających siebie za najlepiej sytuowaną klasę robotniczą na świecie. Robotnicy w General Motors żyli na poziomie nieosiągalnym dzisiaj dla informatyków z Comarchu prezesa Filipiaka, stać ich było na kupienie domu, samochód i utrzymywanie niepracującej żony.

W roku 2007 prezes General Motors Rick Wagoner dostał 16 milionów dolarów za swoje błyskotliwe zarządzanie, które doprowadziło firmę do 39 miliardów dolarów straty. Firmę z opałów musiał ratować - jak zwykle! - podatnik.

To spektakularny przykład na to, że wysokie wynagrodzenia menedżerów nie mają wpływu na jakość zarządzania. Firmy, które przynosiły straty w 2007 i 2008, i tak wypłacały swoim prezesom kolosalne nagrody. W kryzysowym roku 2008 premie na Wall Street wyniosły łącznie 18,4 miliarda dolarów.

Jak to się właściwie stało, że zaczęliśmy płacić tak absurdalne pieniądze za samo zasiadanie w fotelu prezesa? Autorzy tych książek udzielają spójnej odpowiedzi: przy okazji reform gospodarczych Thatcher i Reagana sponsorujące tych polityków lobby najbogatszych załatwiło swoje partykularne interesy.

Obniżyli górne stawki podatku dochodowego, stworzyli system rajów podatkowych pozwalający uniknąć nawet tych obniżonych stawek i znaleźli sposób na uniknięcie podatku spadkowego. Wszystko po to, żeby zabezpieczyć status swój i swoich dzieci.

I od lat 80. ubiegłego stulecia forsują politykę korzystną tylko dla siebie. Nawet jeśli to wymaga sprzymierzenia się z Putinem przeciwko własnemu państwu.

Kiedy Charlie Wilson mówił w 1954, że co dobre dla General Motors, jest dobre dla Ameryki, tę wypowiedź można było uzasadniać wpływami z podatków i zadowoleniem 600 tysięcy pracowników. Z bogactwa Facebooka Ameryka nie ma nawet podatków.

Z podatków GM można było finansować projekty badawcze, którym zawdzięczamy komputer, myszkę czy internet. Następnym takich programów nie będzie, bo najbogatsi zadławiają państwa, którym zawdzięczają swój rozkwit. To nie stało się po raz pierwszy, przypomina Rothkopf, i opisuje analogiczny rozkwit oligarchów przed upadkiem kultury helleńskiej.

Porównanie Rothkopfa wydało mi się jeszcze ciekawsze, gdy sięgnąłem po przebój z ostatniego miesiąca - "Young Money" ("Młode pieniądze") Kevina Roose'a, reportaż o ośmiorgu młodych adeptach Wall Street. Ich pierwsza pensja jest rzędu 70 tys. dolarów rocznie.

To już jest dużo (średnia w USA to 51 tysięcy). Ale oczywiście dla nich to mało, bo każdy z nich marzy o awansie do grona miliarderów.

Roose przeniknął na spotkanie ekskluzywnego klubu, w którym prezesi spotykają się ze stażystami z Wall Street - klub Kappa Beta Phi spotyka się w luksusowych nowojorskich hotelach, by bawić się tam w stylu przypominającym film "Wilk z Wall Street".

Na imprezie, na której był Roose, jednym z honorowych gości był prezes AIG Bob Benmosche, który z pieniędzy podatników otrzymanych na ratunek przed bankructwem wypłacił sobie i swoim bezpośrednim podwładnym 165 milionów premii. Krytykę tych premii porównał potem do "publicznego linczu na menedżerach".

Najciekawsze wydają się nie tyle opisy towarzyskich ekscesów, co atmosfera obłądzonej twierdzy, którą mentorzy Wall Street przekazują młodym wilczkom. Miliarder z Krzemowej Doliny (jeden z inwestorów w Google) Tom Perkins wzbudził ostatnio rozbawienie, porównując ruch Occupy Wall Street do nazistów prześladujących Żydów w noc kryształową.

Z reportażu Roose'a wynika, że to nie było przejęzyczenie. Górny 1 proc. społeczeństwa naprawdę czuje się wyalienowany spośród pozostałych 99. Starsi oligarchowie mówią o swoich rodakach z nienawistną pogardą i tego samego oczekują po początkujących bankierach.

To przypomina antyczne oligarchie z książki Rothkopfa. Ateńscy eupatrydzi (dosł. "potomkowie dobrych ojców") mówili o sobie "hoi agathoi" ("dobrzy") i bali się "hoi polloi" ("licznych").

W VII stuleciu p.n.e. eupatrydzi w obronie swoich przywilejów przed hoi polloi wprowadzili w Atenach tyranię. Przywrócenie porządku wymagało drakońskich środków - literalnie, bo samo powiedzenie "drakońskie środki" powstało na pamiątkę po oczyszczaniu Aten z korupcji przez Drakona, którego wybrała zdesperowana Rada Pięciuset.

Autorzy przytoczonych powyżej książek nie proponują tak radykalnych rozwiązań. Ich propozycje są zdroworozsądkowe - postulują powrót do sprawdzonych modeli działania z lat 50. i 60. Przywrócenie progresji podatkowej, uszczelnienie systemu, opodatkowanie i państwową kontrolę nad korporacjami. Tylko czy nie jest już na to za późno?

za:wybiórcza

Anarcho-Biblioteka



Wojciech Orliński  
Jak najbogatsi ukradli nam świat  
2 maja 2014

[https://cia.media.pl/jak\\_najbogatsi\\_ukradli\\_nam\\_swiat](https://cia.media.pl/jak_najbogatsi_ukradli_nam_swiat)

**[pl.anarchistlibraries.net](http://pl.anarchistlibraries.net)**